

– Muszą państwo burzę przeczekać... Proszę tutaj do izdebki...

– Niech będzie pochwalony! – powiedziała Józia, przestępując próg.

– Na wieki wieków. Amen. Niech państwo zaczeka chwilusię, zaraz będzie mleko...

Gospodyni znikła, a Łuniewski szepnął Józii:

– Musimy sobie przynajmniej mówić: ty, jak przystało na brata i siostrę...

Józia skinęła głową, trochę rozbawiona i trochę zakłopotana tą rolą „siostry”...

Łuniewski ciekawie rozejrział się po izbie, która nie różniła się niczym specjalnym od wielu podobnych izb chłopskich.

Nie miała podłogi, tylko ubite, starannie zamiecione klepisko. Dwa łóżka z żółtego drzewa zastane były wysoko poduszkami i pierzynami w pasiastych poszwach.

Ściany zawieszane były obrazami świętych o krzyczących, jaskrawych barwach.

Scienny zegar z malowanymi różami tykał głośno.

Na oknach zieleniły się mirty i kwitły pelargonie.

Pachniało tu porządkiem i czystością, świadcząca o pracowitej, zapobiegliwej gospodyni...

Musiła też zwrócić uwagę spora ilość książek ułożonych starannie na pulce, zbitej z prostych sosnowych desek.

Józia zdjęła kapelusz i położyła go wraz z kwiatami na skrzyni.

Przyglądała trochę włosy i usiadła na ławie. Łuniewski tymczasem przyglądał się obrazom i uśmiechał się lekko.

– To charakterystyczne, że prawie wszystkie obrazy mają podpisy niemieckie... – powiedział – Ale skąd oni to wzięli?...

Wskazał na krzyż misternie wyrobiony z weneckiej mozaiki.

– Skąd macie ten krzyż gosposiu? – zapytał gospodynię, która w tej chwili weszła do izby niosąc garnek z mlekiem, dwa talerze, dwie łyżki blaszane i połówkę razowego chleba.

– A to mój przywiózł z „Wenedyku”...

– A cóż wasz mąż tam robił?...

– A za robotą jeździł, jako, że on z zawodu jest ślusarz...

– A teraz gdzie jest, w domu?...

– Ale w domu ta! – odpowiedziała, stawiając mleko i talerze na stole – Gdzieby miał być, na wojnie!...

– I żyje? Pisz?

– Dzięki Bogu, jeszcze go ta Matka Boska ochrania. Niechże se państwo przyje chlebusia do tego mleka... Dawniej to ta miastowi takim czarnym chlebem pogardzali, ale tera Pan Bóg odmienił... Żeby ino tego czarnego nie zbrakło.

Westchnęła jakoś ciężko i wysunęła się z izby.

– O! Jak pan niezdarnie kraje chleb!... – zawołała wesoło Józia – Niechże pan zaczeka, to już panu sama kromkę ukrąję i mleka naleję... – Bratu nie mówi się „panie” – upomniął ją cicho.

Powieki lekko przymrużył i śledził zachłannym spojrzeniem zwinne ruchy młodej kobiety i harmonijne linie jej gibkiego ciała.

– Nie, nie chcę takiego brata...

– Dlaczego?...

Józia komicznie zmarszczyła swój zgrabny nos.

– Bo pan taki zdalny na mojego brata, jak na chińskiego cesarza... – wypaliła.

– Przedewszystkiem ośmielę się zwrócić uwagę, że Chiny są obecnie republiką, a powtóre skądże takie przekonanie?

– Już ja mam „czuja”. – odpowiedziała śmiejąc się i zatapiając zęby w skibce chleba.

Łuniewski musiał przyznać w duchu, że Józia ma istotnie dobrego „czuja”.

– Nie możemy się kompromitować przed gospodynią. – zauważył.

– E! Ona ma robotę i napewno nas nie podsłuchuje... Niechże pan je. Może panu nie smakuje?

– Ależ smakuje mi ogromnie...

– Bo mnie to już dawno nic tak nie smakowało... Pyszne mleko!... Jaka śmietana!...

Rzeczywiście, dawno już nie zjadła z takim szczerym, zdrowym apetytem.

W domu wzrok świekry, miny Loli i uśmieszki ironiczne służącej odbierały młodej kobiecie ochotę do jedzenia...

– A możebyśmy tak jedli po chłopsku z jednej miski? – proponował Julian, przysuwając się bliżej ku swojej towarzysze.

– Aleel!... – odrzuciła z andrusowskim akcentem – Czego się to nie zachciewał... Co to, to już nie!... Jeszczeby mnie pan odjadł!...

– Będę jadł jak mały ptaszek!

– Nie wierzę! Pan jest egoista!...

– Nie prawda!... Kto to pani tak powiedział?...

– Już ja to sama wiem!...

To sam na sam w zacisznej izbie chłopskiej wytworzyło w nich jakieś dobre miłe usposobienie.

Mieli humor jak dzieci i co chwila wybuchali śmiechem bez wyraźnego powodu.

Siedzieli teraz na ławie tak blisko siebie, że ramię Józii stykało się z jedwabnym rękawem marynarki Łuniewskiego.

Mężczyźnie dziwnie złagodniała twarz i usta ułożyły mu się do serdecznego, ciepłego uśmiechu.

Kobiecie wykwitły na policzkach świeże rumieńce, a w turkusowych oczach paliły się swawolne, figlarne ogniki.

A za oknem na dobre rozszalała się burza.

Józia skończyła jeść, odsunęła talerz i obtarła mlekiem ubielone usta.

Spojrzała w okno.

– Ależ burza!...

Głuche dudnienie grzmotów wstrząsało powietrzem. Błyskawice co kilka minut rozświetlały izbę. Deszcz nie padał już kroplami, lecz lał strugami.

Józia wstała, podeszła do okna i odsunawszy gałązki wysokiego mirtu, patrzyła na sad, targany nawałnicą wiatru i deszczu.

Nagle rozległ się przeraźliwy, ogłuszający huk – aż zadrżała chałupa i zadzwoniły szyby.

– Jezusie Maryjolo!... Wszyscy Święci Pańscy miejcie nas w opiekę!... – wrzasnął w sieni jakiś piskliwy głos kobiecy.

– Piorun gdzieś blisko uderzył! – zawołała Józia.

Przybladła trochę i mimowolnie cofnęła się dalej od okna.

Łuniewski, który stał za nią, wyciągnął ramię, jakby ją chciał niem otoczyć. Powstrzymał się jednak w porę i tylko delikatnie dotknął ręki Józinej.

– Boi się dziecko burzy? – zapytał młękko.

– Jak czasem... To zależy od mojego usposobienia...

– A teraz?

Podniosła na niego oczy, które w tej chwili bardziej, niż kiedykolwiek, przypominały podania o urocznych, zwodniczych rusalkach.

– Teraz nie boję się...

– No to dobrze. Niech sobie tam deszcz pada i pioruny biją, nam tutaj ciepło i bezpiecznie...

– Kto wie... – szepnęła Józia, jakby sama do siebie.

– Co pani powiedziała?... Bo nie dosłyszałam...

– Ach!... Nic... nic...

– Proszę sięś grzecznie, to będziemy sobie gwarzyli...

– A o czym? – zapytała Józia, siadając znowu na ławie.

– O czym tylko mała kobietka chce...

– J! wcale nie jestem mała!... O, jestem panu więcej niż po ramię, a pan jest przecież wysoki...

– Więc niech będzie duża kobietka...

– I nie żadna kobietka...

– Tylko poważna, pełna godności dama... już wiem... Więc o czym ta dama chce mówić?

– Niech mi pan opowie bajkę... Strasznie lubiłam słuchać bajek, kiedy byłam dzieckiem... Ale nie miał mi kto ich opowiadać...

– I ja nie umiem opowiadać bajek...

– Szkoda...

– Chyba, że pani chce posłuchać bajki o... miłości...

W głosie mężczyzny zadrgały tak gorące tony, że Józia nagle spojrzała na niego trochę z wysoka.

– Dziękuję – powiedziała chłodno – taką bajkę, to już mi opowie ktoś inny...

Julianowi gniew zamigotał błyskawicą na twarzy. Zdławił go jednak w sobie i nic Józii nie odpowiedział.

Zapanowała chwila przykrego milczenia. Nie trwało to wszakże długo, bo Łuniewski, opanowawszy się zupełnie, zapytał z obojętną miną światowca, który prowadzi towarzyską rozmowę:

– Czy pani była kiedy w Wenecji?

– Nie. A skąd panu przyszło do głowy to pytanie?

– Popatrzyłem się na ten krzyż mozaikowy i przypomniało mi się... Ale oczywiście słyszała pani i czytała dużo o tej „królowej Adryatyku”.

– Naturalnie... laguny... gondole... plac św. Marka... pałac Dożów... gołębie... – recytowała tonem wyuczonej lekcji.

– Ech! Co tam wszelkie opisyl!... – machnął lekceważąco ręką – tomy czytałem o Wenecji przed moją pierwszą podróżą do Włoch, a jednak kiedy się znalazłem przed dworcem, to otworzyłem szeroko oczy i usta i zgłupiałem z podziwu...

– Doprawdy? Tam tak pięknie?... – pytała Józia zaciekawiona. – Niech pan mi coś o Wenecji opowie...

Łuniewski powinszował sobie, że wszczął ten temat. Oczy Józii straciły chłodność, stały się połyckie, a zaświeciła w nich ciekawość dziecka.

– Więc to jest miasto na wodzie, na morzu?... I jak to wygląda?...

Zaczął opowiadać... Rozsnuwał przed nią obrazy koronkowych pałaców weneckich, kościołów o tajemniczych wnętrzach... Porywał jej wyobraźnię wizją lazurowego morza w kąpielu złotych promieni słonecznych...

Mówił o gondolach, które ciche i czarne, jak trumny, suną po fali jasnej, błękitnej i wiozą pary zakochanych...

Józia siedziała cichutko i słuchała, jak się słucha pięknej bajki... Głowę wsparła na dłoniach i starała się w myśli odtworzyć to, co jej Łuniewski malował słowami.

Zapomniała o burzy i o tem, że wskazówka na zegarze posuwała się ciągle...

Raz tylko szepnęła:

– Ach! Jakże to musi być piękne...

Opowiedział jej jeszcze podanie o okrutnej dogaressie Flawii i historię nieszczęśliwego Marino Falieri.

– Chciałabym pojechać do Wenecji... – powiedziała Józia rozmarzona, kiedy skończył.

– Teraz niepodobna, bo wojna...

W tej chwili drzwi uchyliły się i gospodyni zajrzała do izby.

Zajęci rozmową, nie spostrzegli jej. Drzwi przymknęły się znowu.

– Ach! Ta wojna... ta wojna!...

– Wojna się skończy i pani pojedzie... – ciągnął dalej, zapominając o istnieniu Konrada Żarnickiego...

Upojony był własnym marzeniem.

– Ubierze się pani i uczesze tak, jak się ubierają weneckie dziewczęta... Włosy upięte wysoko, w nich cudne weneckie szpilki... Na szyi kolorowe paciorki... Cała owinie się pani koronkowym, czarnym szalem... Pójdziemy na plac Marka karmić gołębie... A wieczorem popłyniemy gondolą...

Józia z początku słuchała z uśmiechem rozmarzenia. Podobał się jej ten obraz. Wyobrażała sobie, jakby to wyglądała w weneckim stroju, otoczona chmurą śnieżno-białych gołębi.

Ale te „pójdziemy”, „popłyniemy”, które wyrwały się Łuniewskiemu prawie bezwiednie – otrzeźwiły ją.

– Kto? My? – wtrąciła. – Ach! Pan pewnie miał na myśli mnie i Konrada... Tak... Jak Konrad wróci, to może tam pojedziemy...

Łuniewski zachłystnął się śliną. Chłusnięcie zimną wodą było silne.

Bajka przerwana brutalnie...

Spojrzał na Józję oczyma, w których przeziarała twardość uporu i migotał błysk jakiegoś okrucieństwa.

Ale młoda kobieta nie na niego patrzyła, tylko na zegar, który wskazywał dwadzieścia minut po szóstej.

– Rany Boskie!... Tak późno!... – krzyknęła, zerwała się z ławy i chwyciła za swój kapelusz. – Ależ, proszę pani, deszcz leje, jak z cebra!... Proszę spojrzeć w okno!...

Burza uspokoiła się już, ale deszcz rozpadał się na dobre. Potoki wody spływały na ziemię, tak bardzo dżdżu spragnioną.

Ale Józję obecnie nic to nie obchodziło, że zasiewy potrzebują deszczu.

Spojrzała w sad, otulony powłoką beznadziejnej szarzyzny i z rozpaczą załamała ręce.

– Boże mój!... Taka ulewa!... Wszystko jedno, ja i tak idę!...

– Pani Józio, to szaleństwo!...

– Jak się pan boi zmoknąć, to niech pan zostanie! Ja idę.

(Ciąg dalszy nastąpi)